Przystanek historia

https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/81166,To-bylo-piekne-majowe-popoludnie-Spalenie-Wawolnicy-2-maja-1946-roku.html

ARTYKUŁ

To było piękne, majowe popołudnie... Spalenie Wąwolnicy 2 maja 1946 roku

OKRES HISTORYCZNY

(1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej

Autor: TOMASZ PANFIL 02.05.2021

Front przeszedł przez ziemie na wschód od Wisły prawie dwa lata wcześniej. Niemcy gnani bez wytchnienia przez rozpędzoną Armię Czerwoną stawiali opór tylko w nielicznych miejscach.

Walec przetaczającego się frontu, który tak często pozostawiał za sobą tylko ruiny i zgliszcza, oszczędził więc Lubelszczyznę, jej wsie i miasteczka. Nowa władza triumfalnie obwieściła nadejście wolności, sprawiedliwości i pokoju. Lecz jakże inny był to pokój od tego, którym ledwie 25 lat wcześniej, w roku 1921 cieszyli się Polacy, jakże inna wolność i sprawiedliwość.

„Cholernie cudowni ludzie”

Po brunatnej okupacji nadeszła czerwona. Nieszczęścia jednak nie złamały w ducha w mieszkańcach Lubelszczyzny, nadwiślańskich wsi i miasteczek. Amerykanin John Vaschon, fotograf pracujący dla *United Nations Relief and Rehabilitation Administration*, zwanej w Polsce „ciocią Unrrą”, swe wrażenia z misji w Polsce utrwalał na kliszy fotograficznej i w listach do Penny, swojej żony. W jednym z nich dziwi się sam sobie, jakich podniosłych słów musi używać, by opisać Polaków. Wprawdzie widzi w nich „najbiedniejszych ludzi na świecie”, lecz ubóstwo materialne jest niefortunną okolicznością, towarzyszącą temu, co w Polakach najistotniejsze: dumie, pobożności, uczciwości. Vachon pisze o tych, którzy odejmując sobie od ust częstują go chlebem i mlekiem, a czynią to z tak ujmującą godnością i gościnnością, że nie śmie proponować im pieniędzy, choć każdy dolar dla nich byłby majątkiem.

„Chryste, to dzieje się naprawdę…”

Status pracownika UNRRA dawał wiele przywilejów, nie zapewniał jednak nietykalności. Kozienickie UB zatrzymało Vachona – mówiący po angielsko człowiek z aparatem fotograficznym, musiał im wydać się wręcz modelowym imperialistycznym szpiegiem. Ale wówczas jeszcze komunistyczna władza starała się w oczach obywateli Zachodu zachowywać choć pozory praworządności: Vachona przeproszono i wypuszczono z aresztu 1 maja. Mógł więc ruszyć w dalszą drogę do Lublina.

> „…około 4:30 zobaczyliśmy przed sobą wielką kolumnę dymu, jakby z płonącego szybu naftowego. Kiedy się zbliżyliśmy, przekonaliśmy się, że to płonie wieś. Chciałbym móc opisać Ci ten [widok], ale wiem, że nigdy nie zdołam. Nic nigdy nie sprawiło mi takiego wewnętrznego bólu, jak to…[..] Żałośnie płaczące kobiety, mężczyźni ze łzami spływającymi po twarzach, stojący i patrzący jak ogień pochłania ich domy – «to jest wszystko co mam», mówili – małe, mniej więcej czteroletnie dzieci, stojące obok ocalonego dobytku i patrzące – lecz nie płaczące, – ośmiolatki łkające histerycznie, kobieta wyciągająca kufer z trzyletnim maluchem w środku i biegnąca z powrotem, by przynieść coś więcej… Cholera, ci biedni ludzie, którym udało się przetrwać wojnę nie tracąc życia, którzy zachowali swoje domy i pola, i ten piękny maj, i oni

stojący tam i patrzący jak miejsce, w którym żyli i całe ich życie płonie…”.

Tak, w liście do żony, opisał spalenie wsi Wąwolnica przez grupę operacyjną MO, KBW i UB John Vaschon, To jemu zawdzięczamy unikatowe fotografie, niepodważalny dowód bezwzględnych metod działania komunistycznych uzurpatorów, którzy pod pretekstem zwalczania „band”, wprowadzali systemowy terror wobec zwykłych ludzi, chcących tylko żyć i pracować w spokoju.

Spalenie Wąwolnicy. Autorem zdjęć jest amerykański fotografik John Vachon, przebywający wówczas w Polsce z misją UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) – międzynarodowej organizacji utworzonej w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i Azji po zakończeniu II wojny światowej.

„Nie zostało nam nic”

Prawdziwy przebieg wydarzeń utrwalonych na wstrząsających fotografiach przez Johna Vaschona, znamy również z licznych, wzajemnie potwierdzających się zeznań składanych prokuratorowi IPN. Gdy około południa do wsi zajechała wysłana przez starostę puławskiego Stefana Lewtaka tzw. Grupa Kontyngentowa, część mieszkańców na widok uzbrojonych milicjantów zaczęła uciekać do osady Zarzeka. W niektórych zeznaniach pojawia się informacja, że faktycznie w Wąwolnicy mogli być żołnierze podziemia antykomunistycznego. Ponoć było ich dwóch, siedzieli spokojnie w restauracji, gdy zobaczyli wjeżdżających milicjantów, próbowali

uciec przez okno. Zostali zauważeni, milicjanci zaczęli strzelać, wtedy do ucieczki rzucili się inni ludzie. I jeszcze jedna intrygująca informacja: Grupą dowodził Edward Wargocki, szewc pochodzący z Wąwolnicy, gdzie wciąż mieszkali jego krewni. Czy to na jego widok ludzie zaczęli uciekać? Czyżby wąwolniczanie po prostu wiedzieli, że obecność Wargockiego zwiastuje kłopoty? Gdy kilku mężczyzn schroniło się w stodole Wacława Łuszczyńskiego, funkcjonariusze ją podpalili. Ogień, w zwartej, drewnianej zabudowie Zarzeki rozprzestrzenił się błyskawicznie, zwłaszcza, że przybyłych do pożaru strażaków milicjanci trzymali pod bronią nie pozwalając gasić.

> „Słyszałem, że nie można było gasić pożaru, gdyż żołnierze nie dawali gasić. Kto podpalił ojca zabudowania, tego nie wiem. Wiem, że żołnierz podpalił nasz dom; prawdopodobnie coś rzucił i podpalił nasze mieszkanie. W wyniku tego podpalenia spaliło się nam mieszkanie murowane z kamienia kryte strzechą, stodoła drewniana kryta strzechą i obora. Spaliły się także wszystkie meble, jakie były w domu. Nie zostało nam nic. Jak sobie przypominam ojciec wyprowadził świnię i krowę”.

– zeznawał w roku 2003 Stanisław Rutkowski z Zarzeki. Gdy płonął jego dom, miał niespełna 14 lat.

Po spaleniu Zarzeki milicjanci wycofali się i zatelefonowali do Puław, alarmując, że zostali zaatakowani przez „bandę” i domagając się wsparcia.

Pomoc przybyła – na polecenie starosty puławskiego, zmontowano grupę operacyjną złożoną z żołnierzy KBW, funkcjonariuszy UB i MO. Na jej czele stanął Antoni Stefaniak, młodszy referent Grupy Walki z Bandytyzmem z puławskiego PUBP. Ciekawe, w jakim stanie był Stefaniak: dzień wcześniej został przez szefa WUBP awansowany do stopnia starszego sierżanta. Wedle charakterystyki umieszczonej w aktach osobowych Stefaniak był

> „odważny do boju, niczego się nie lęka i zawsze wykonuje rozkazy. Przekonania posiada czysto demokratyczne”.

Kombinowana grupa operacyjna przyjechała kilkoma ciężarówkami, funkcjonariusze zajęli stanowiska na wzniesieniach i zaczęli ostrzeliwać Wąwolnicę z broni maszynowej. Od pocisków zapalających zajmowały się kolejne domy, stodoły, obórki i stogi. To ogień funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa był przyczyną zagłady wsi!

Spalenie Wąwolnicy. Autorem zdjęć jest amerykański fotografik John Vachon, przebywający wówczas w Polsce z misją UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) – międzynarodowej organizacji utworzonej w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i Azji po zakończeniu II wojny światowej.

Ubecy piszą historię

Gdy wieczorem 2 maja mieszkańcy Wąwolnicy w rozpaczy przeszukiwali pogorzeliska, w Puławach trwało tworzenie alternatywnej rzeczywistości: do nocy funkcjonariusze MO i UB pisali raporty. Każdy następny był dłuższy od poprzedniego i bardziej zakłamany. Ale cóż – prawdomówny komunista to zjawisko w przyrodzie równie rzadkie, jak ubek z sumieniem. Jako pierwszy telefonogram wysłał kierownik puławskiego PUBP Antoni Dawidowicz. Swój raport napisał por. Jan Nowak, komendant powiatowy MO. Talent pisarski odkrył w sobie zastępca Nowaka do spraw polityczno-wychowawczych ppor. Roman Kolczyński. Jest on autorem aż dwóch obszernych raportów, w których z dbałością o detale (opisuje na przykład, jak jednemu z milicjantów zacięło się parabellum, dlatego nie strzelił do „bandyty”) stworzył ubecką wersję zdarzeń.

„Czarna legenda” zaczyna się od tego, że Grupa Kontyngentowa z Puław, na rynku w Wąwolnicy natknęła na „bandę ubraną po cywilnemu i uzbrojoną w broń krótką”. Rzekomi bandyci ostrzelali Bogu winnych ducha milicjantów i zaczęli uciekać w stronę osady Zarzeka:

> „…zauważono dwuch [*tak w oryg.*] ostatnich którzy wybiegając między zabudowania rzucili granaty w stronę milicjantów, które upadły obok stodoły. Bandytów nie schwytano, gdyż byli już między budynkami,

> natomiast zauważyliśmy płonącą stodołę przypuszczalnie zapaliła się od granatów. Wszczęto natychmiast alarm, aby w celu unistwienia żywiołu [*tak w oryg.*], lecz pożar szybko się rozszerzał [*tak w oryg.*], gdyż dzień upalny a dachy słomą kryte, po których ogień szybko się przerzucał [*tak w oryg.*], a przy tem i wiatr był silny. W trakcie pożaru było słychać silne detonacje materiałów wybuchowych, które były poukrywane w domostwach, a przy eksplozji rozrzuciło ogień. Milicja natychmiast zaalarmowała o pomoc do Powiatowej Komendy…".

Zapamiętajmy ten styl, tę swobodę w konstruowaniu narracji prezentowaną przez Kolczyńskiego – taki talent musiał być doceniony.

Dalsze dochodzenie prowadzi się

Powtórzmy mocno i dobitnie: Wąwolnicę metodycznie i z premedytacją spalili funkcjonariusze KBW, UB i MO. Opowieść Kolczyńskiego jest absurdalna – wynika z niej, że rzekome materiały wybuchowe ukrywane były przez mieszkańców gdzie?! W strzechach domów?!.

> „…w każdym prawie zabudowaniu rwały się granaty i inne materiały wybuchowe; jakie materiały trudno ustalić, ponieważ osada Wąwolnica jest źle ustosunkowana do obecnego ustroju, tak że nie ma człowieka, żeby dał zeznania celem ustalenia".

– pisał ppor. Eugeniusz Lis.

Na drugi dzień na zgliszcza przyjechał jakiś ubek podający się za prowadzącego śledztwo i poinformował wąwolniczan, że ich wioskę spalili bandyci od „Orlika" (czyli majora Mariana Bernaciaka), znienawidzonego przez komunistów dowódcę podziemia antykomunistycznego – zwłaszcza nie mogli mu darować rozbicia Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Puławach i uwolnienia 107 więźniów. Alternatywna, zakłamana wersji historii rozpoczęła swój oficjalny żywot. Lecz Wąwolnica znała prawdę.

22 maja ppor. MO Eugeniusz Lis podsumował zniszczenia i straty:

> „wedle dochodzenia i opisów spaliło się dwie osoby, 101 domów, stodół 106, obór 121, chlewów i innych 120, świń 255, krów 2, kóz 5, kur 145, królików 60, w obliczeniu straty w czasie dzisiejszym wynoszą na

70 364 800 złotych. Dalsze dochodzenie prowadzi się”.

W płomieniach zginęli ratując dobytek Łuszczyński i Jan Wargocki. Lis nie uwzględnił dwóch innych ofiar milicyjnego terroru: mężczyzny, który skonał na serce i kobiety, która popadła w obłęd. Po dokładnym policzeniu zniszczeń, liczby te jeszcze wzrosły – ostatecznie ustalono, że straty poniesione przez 197 poszkodowanych, zamknęły się kwotą ponad 75 milionów 316 tysięcy złotych.

Spalenie Wąwolnicy. Autorem zdjęć jest amerykański fotografik John Vachon, przebywający wówczas w Polsce z misją UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) – międzynarodowej organizacji utworzonej w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i Azji po zakończeniu II wojny światowej.

Prawda przysypana popiołami

Do spalonej Wąwolnicy przybyli też członkowie opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego, posłowie do komunistycznego quasi-sejmu, czyli Krajowej Rady Narodowej – Stanisław Wójcik i Jan Pasiak. To oni wraz z Hanną Chorążyną i Stanisławem Mikołajczykiem składali liczne wnioski i interpelacje, domagając się znalezienia i ukarania winnych spalenia Wąwolnicy.

Tymczasem komunistyczni propagandyści na etatach dziennikarzy winnych oczywiście znali – już 12 maja lubelski „Sztandar Ludu” pisał:

> „Rejestr zbrodni bandytów NSZ-owskich w Lubelskim powiększył się o nową pozycję. NSZ w swej walce z władzami polskimi nie przebiera w środkach. Morduje niewinnych ludzi, naraża na olbrzymie niebezpieczeństwa spokojna ludność cywilną. Dla bandytów z NSZ nie istnieją żadne tamy moralne w ich niecnych występkach. Mówią o tym dobitnie zajścia w Wąwolnicy”.

I dalej płynie znana już nam, a przygotowana przez ubeka Kolczyńskiego, opowieść o niewinnej grupie robotniczej tylko przejeżdżającej przez wieś „bez zamiaru zatrzymania”, którą zaatakowali „uzbrojeni w krótką broń i granaty bandyci.” Funkcjonariusz na etacie dziennikarza twórczo rozwijał narrację Kolczyńskiego, ubolewając fałszywie, że

> „ratunek dobytku i gaszenie pożaru uniemożliwiły wybuchy amunicji, granatów i min, jakie znajdowały się nagromadzone w zabudowaniach i domach Wąwolnicy, gdzie widocznie bandyci mieli szereg tajnych magazynów broni”.

Ale żeby czytelnik nie współczuł nazbyt wąwolniczanom, gazeta wyjaśniała, że „Wąwolnicy od dawna jest siedzibą reakcyjnych band.”

Odpowiedzi posłom PSL udzieliła jesienią osławiona Julia Brystygierowa. Większość kłamstw znajdujących się w piśmie z Ministerstwa Bezpieczeństwa już znamy: o podpaleniu wsi przez „bandytów”, o materiałach wybuchowych, o ofiarnych milicjantach próbujących ratować wieś. Rozwinięty został wątek sprawców – choć bezpieka nie mogła się zdecydować, komu przypisać swoją zbrodnię i w maszynopisie odpowiedzi pierwotny skrót NSZ przekreślano, poprawiając na WiN. I puenta:

> „Faktyczni sprawcy spalenia wsi Wąwolnica zostali w części ujęci i toczy się w ich sprawie śledztwo. Inna zaś część członków bandy «Orlika» i on sam zostali w starciu z oddziałami bezpieczeństwa zabici”.

Poseł Jan Pasiak był cierpliwym orędownikiem wąwolniczan przez kilkanaście lat. Sam będąc więzionym przez UB oficerem Batalionów Chłopskich, inwigilowanym do 1955 r., w 1958 r. (4 lata przed swą śmiercią) osiągnął tyle, że do Wąwolnicy trafiły pierwsze, niewielkie – w stosunku do strat – zapomogi.

A mieszkańcy Wąwolnicy przez kolejne lata zabiegali o jakąkolwiek pomoc. Dwanaście lat po spaleniu Gminna Rada Narodowa wystosowała pismo do dyrekcji PZU. Czytając je zastanawiałem się, co było gorsze dla

wąwolniczan: czy kilka godzin furii zdeprawowanych komunistycznych siepaczy, czy trwająca latami bezduszna obojętność urzędników. Oto bowiem

> „..poszkodowani nie biorą już pod uwagę czy winni, czy nie winni, nic dotychczas nie otrzymali. Jedno jest niezaprzeczalne, że pożar był, że ludność na skutek tego poniosła milionowe straty, że dotychczas nie odbudowała się ze zgliszcz i zniszczeń, że skurczyła się tylu ludziom zdolność płatnicza i że niepomiernie spadła ich stopa życiowa, albowiem wiele z tych rodzin po dzień dzisiejszy mieszka niżej wymogów człowieka w ziemiankach, komórkach i ciasnych zjedzonych grzybem i wilgocią prymitywnych przybudówkach, w których przyszły obywatel, dziś młody dzieciak już karłowacieje i nabawia się niczym nieuleczalnych chorób. [..] Poszkodowani klęską pożaru mieszkańcy Wąwolnicy czynili w międzyczasie starania o wypłatę składek pogorzelowych. Starania te nic nie dały, poszkodowanych załatwiono milczeniem, nie dano im nawet odpowiedzi”.

Nazwać zło po imieniu

Zbyt często w naszych polskich historiach ostatnich lat, ofiary komunistycznych zbrodni występują samotnie. Kaci, oprawcy, zbrodniarze wciąż, jak w latach PRL-u, kryją się za zasłoną milczenia. A przecież zło miało zarówno imiona, jak i nazwiska. Więc przywołajmy je również. Zwłaszcza, że tak wcześniejsze, jak późniejsze losy wiele mówią o funkcjonariuszach, którzy byli sprawcami nieszczęścia mieszkańców Wąwolnicy. Ppor. Eugeniusz Lis, przedwojenny podoficer 28 DP, w czasie wojny w BCh, funkcjonariusz MO od października 1944 r., w styczniu 1946 został ukarany za gwałt – otrzymał 7 dni aresztu. Wydalony dyscyplinarnie z milicji w październiku 1946 roku – w aktach znajdujemy informacje, że był karany za „picie wódki i nicnierobienie”, ale jako oficjalną przyczyną wydalenia wpisano „niepewny politycznie”. W styczniu 1948 roku wyrzucono ze służby ubeka Antoniego Dawidowicza – był wówczas p.o. kierownika PUBP w Kamieniu Pomorskim. Liczba przestępstw, których się dopuścił jest długa – i może UB wybaczyłoby mu torturowanie zatrzymanego kolejarza czy wykorzystywanie Niemców do pracy niewolniczej, ale kradzieży resortowego mienia wybaczyć nie chciało. Sadystę i malwersanta z resortu wyrzucić można, ale żeby robić mu krzywdę, co to, to nie. Już pół roku później znajdujemy Dawidowicza na stanowisku wójta gminy Polanica Zdrój. Do maja 1949 roku pracował milicjant Zygmunt Piłat – jego także zwolniono dyscyplinarnie, mimo chwalonych i nagradzanych premiami zasług w zwalczaniu „band” (walczył również przeciwko UPA), a w aktach znajdujemy wpis, że był „niepewny politycznie”. Komendant Powiatowy MO Jan Nowak został wydalony dyscyplinarnie ze służby 31 marca 1952 roku. Popełnił zbrodnię niewybaczalną – okłamał swoich przełożonych. Przed wojną bowiem, był dwukrotnie skazany na kary więzienia (łącznie 15 miesięcy) za napady rabunkowe. Gdy wstępował do MO, napisał, że sanacja go gnębiła za przynależność do Komunistycznej Partii Polski. Zataił również fakt przynależności (króciutkiej) do „profaszystowskiego” ZWZ – i nie pomogła mu aktywna działalność w szeregach GL i AL. Wnioskując do Komendanta Głównego MO jesienią 1950 r. o zwolnienie go ze służby za wypowiedzeniem,

Nowak pisał:

> „..nie znaczy to, iż podanie moje stanowi wycofanie się z walki klasowej – bynajmniej – a bardziej jeszcze czujność rewolucyjna we mnie potęguje się i, o ile w tak ciężkich czasach dla setki towarzyszy dezerterowało, setki towarzyszy wątpiło w nasze zwycięstwo, moim celem było i jest bić faszystów i dziś występując z organów M.O. zostaję z nimi sercem i, niewątpliwie na innym odcinku, na jakim bym nie pracował, czuł się będę jako pracownik bezpieczeństwa, jako członek Gwardii Ludowej i jako rewolucjonista”.

I tak doszliśmy do ludzi, którym możemy przypisać sprawstwo kierownicze wąwolnickiej zbrodni. Z tej grupy, z resortem pożegnał się – oczywiście dyscyplinarnie – Antoni Stefaniak. Doceniono go za spalenie Wąwolnicy i Zarzeki: jeszcze w maju 1946 r. ten referent Grupy Walki z Bandytyzmem odznaczony został przez dowódcę KBW, sowieciarza Bolesława Kieniewicza Krzyżem Zasługi i Medalem na Polu Chwały. Po przeniesieniu do Tomaszowa Lubelskiego (w sierpniu 1948 r.), zaczął się skarżyć na zły stan zdrowia, przez ponad rok przebywał na zwolnieniach i jeździł po sanatoriach z rozpoznaniem „nerwicy wegetatywnej” i „psychonerwicy”. Wreszcie w listopadzie 1949 szef tomaszowskiego PUBP wystąpił o zwolnienie Stefaniaka z UB. W uzasadnieniu napisał:

> „W związku z tym, że wymienionego stan zdrowia nie ulega poprawie, oraz że ma zasadniczą wadę – gdyż jest zboczeńcem na tle seksualnym, przez co kompromituje Organa B.P. w oczach społeczeństwa, niema żadnych możliwości do pozostawienia go do pracy”.

Wszyscy wspomniani przeze mnie funkcjonariusze legitymowali się wykształceniem podstawowym. Takież miało dwóch kolejnych, tyle tylko, że pozostali w resorcie osiągając coraz to wyższe stanowiska. Urodzony w Wąwolnicy w 1920 r., pracujący jako szewc Edward Wargocki, w podaniu o przyjęcie go w szeregi Organów Bezpieczeństwa napisał:

> „W czasie przyjścia Armii Czerwonej pracowałem w Klemantowicach gm. Celejów pow. Puławy jako szewc. Widząc bandy reakcyjne przystąpiłem do zwalczania ich. Obecnie chcę pracować na korzyść Polski Demokratycznej jako prawdziwy proletarjusz Polski”.

Jak twierdził szef puławskiego PUBP w opinii o Edwardzie Wargockim,

> „braci jego dwóch i siostra zostali zamordowaniu od bandytów, za to, że należeli do org. PPR”.

Może więc miałem rację, podejrzewając, że mieszkańcy Wąwolnicy zaczęli uciekać na widok ubeka Wargockiego przyjeżdżającego do nich na czele uzbrojonej grupy kontyngentowej. Szewc po jednomiesięcznym przeszkoleniu w centrum wyszkolenia MBP, wspinał się po stopniach kariery: w 1951 r. rozpoczął pracę w WUBP w Zielonej Górze, rok później został kierownikiem Sekcji III Wydziału V, w 1957 został porucznikiem, w 1956 przeszedł do MO dochodząc do stopnia kapitana – zmarł w 1998 roku.

Spalenie Wąwolnicy. Autorem zdjęć jest amerykański fotografik John Vachon, przebywający wówczas w Polsce z misją UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) – międzynarodowej organizacji utworzonej w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i Azji po zakończeniu II wojny światowej.

I wreszcie *crème de la crème*: Roman Kolczyński, utalentowany kreator pożądanej przez przełożonych rzeczywistości. Już w półtora miesiąca po spaleniu Wąwolnicy widzimy go w Lublinie, gdzie pełni kilka funkcji, min. komendanta MO i instruktora wyszkolenia polityczno-wychowawczego. Ma wówczas zaledwie 22 lata. Potem widzimy go na różnych stanowiskach, w różnych miejscach (w jego rodzinnej Łodzi i Sokołowie),

wreszcie trafia do Komendy Głównej MO w Warszawie, gdzie jest szefem i zastępcą szefa Oddziału Kadr i Szkolenia. W 1957 zostaje komendantem wojewódzkim MO w Gdańsku – na stanowisku tym pozostaje prawie 20 lat, bo 31 maja 1975 r. Tak, tak – twórca kłamstwa o Wąwolnicy ma na sumieniu jeszcze większą zbrodnię, niebagatelny udział w grudniowych masakrach roku 1970 w Gdyni i Gdańsku. W 1975 w stopniu pułkownika (i nadal z ukończonymi 7 klasami szkoły podstawowej) zostaje komendantem KW MO w Toruniu, pełni również funkcje w tamtejszym aparacie partyjnym. Umiera w 1983 roku.

Został nam jeszcze jeden. Skryty w cieniu złowrogich postaci ubeków, uzbrojonych, palących, torturujących i mordujących. To UB rządzi w sterroryzowanym kraju. Jednak w Puławach roku 1946, to „biały kołnierzyk" wydawał polecenia, to on wysyłał w teren grupy operacyjne i rekwizycyjne, to on miał tak mocną pozycję, że słuchało go nawet wszechmocne UB. Lewtak w nocy 30 kwietnia 1944 r. brał udział w zebraniu 33 działaczy komunistycznych, kiedy to wybrano 22 członków Puławskiej Konspiracyjnej Rady Narodowej. Stefan Lewtak „Wiatr" i jego towarzysze: Stefan Sułek „Oset", Józef Tomasiak „Rysiek", Stefan Kamiński „Gienek", Stanisław Augustyniak „Iskra", Władysław Moskalik „Śmiały" byli „wypróbowanymi działaczami komunistycznymi z okresu międzywojennego", czyli – mówiąc językiem prawdy historycznej – agentami Kominternu i Związku Sowieckiego dążącymi do zmiany ustroju Rzeczypospolitej przemocą i oderwania od niej terenów wschodnich. A oto, co o staroście puławskim Stefanie Lewtaku, napisał w raporcie za okres od 1 do 30 września 1946 r. szef wywiadu WiN:

> „Ogromna większość składu personalnego administracji państwowej jest nam przychylna.[..] Opinii o pracownikach starostwa w Puławach na razie podać nie możemy. Lecz co do osoby samego starosty z Puław p. Lewtaka, to stwierdzić można, iż osoba ta jest na równi szkodliwa dla Narodu jak osoba samego Radkiewicza. Lewtak jest fanatycznym przeciwnikiem wszystkiego, co idzie przeciw obecnemu ustrojowi i w poczynaniach swoich jest bezwzględny. Każda pacyfikacja terenowa jest dziełem Lewtaka. Jak donoszą, często zwraca się Lewtak do swoich czynników zwierzchnich o przysłanie nowych kontyngentów U.B. i K.B.W., mających być użytych do pacyfikacji terenu. Wszelkich zarządzeń państwowych jest Lewtak gorliwym wykonawcą. Jego to dziełem było wymordowanie w marcu 1945 r. 28 aresztowanych przez U.B. bez wyroku i zagrzebanie ich w dołach kloacznych. Zeznania takie złożył i swoim podpisem potwierdził inspektor na Posterunku M.O. w pow. Puławy, por. Gorecki...".

Lewtak żył sobie w Puławach, brał udział w licznych spotkaniach, wspominał czasy walki o komunizm i z reakcją. Jeszcze w 1980 roku działał aktywnie w radzie osiedla Puławskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, pobierał wysoką emeryturę do swej śmierci w 1992 roku. Ponoć przez lata mieszkańcy Puław na jego widok przechodzili na drugą stronę ulicy.

Po najeździe bolszewickim na Polskę w roku 1920, Kazimierz Wierzyński napisał wiersz o spalonym polskim miasteczku. Takim sam wiersz mógłby powstać o Wąwolnicy, która komunistycznej dzikości doświadczyła w roku 1946:

Z całego miasta zostały kominy:
Chude, w rozpaczy skamieniałe pięście,
Zmrok się po zgliszczach włóczy czarno-siny,
Spalone domy, nieszczęście.

Dróg nie rozeznać. Wszystko się zmieszało,
Jak w zapomnieniu, w wystygłym popiele.
W powietrzu płynie, jak duch z twarzą białą,
Słup bólu: wieża po dawnym kościele.

Miasto stracone, przepadłe, niczyje.
Ni żywej duszy, tęskność niewyznana,
Jak żywa rozpacz, wśród ciemności wyje
Pies skowyczący, zaprawdę bez pana.

COFNIJ SIĘ